

Kiedy zamykam oczy, wyostrzają się zmysły...

Chorzów, Wesole Miasteczko. Sierpień 2007r.

Moi Synowie uwielbiają takie miejsca, ja nieszczególnie. Nie lubię hałaśliwych kolejek, przybrudzonych karuzel, ani lepkiej, mdłej cukrowej waty. Za to uwielbiam Gabinety Krzywych Luster, moje dzieci również.

Wchodzimy do środka. Patrzymy na swoje powyginane odbicia i śmiejemy się do rozpuku.

- Dobrze, że świat tak nie wygląda, bo wszyscy umarliby ze śmiechu – mówią moi Synowie.

Chorwacja. Lipiec 2008r.

Jutro wyjeżdżamy. Mąż cieszy się jak dziecko, a dzieci wariują podekscytowane do granic możliwości. To nasza pierwsza tak duża, zagraniczna wyprawa. Pakuję kolejne walizki, próbując wykrzesać z siebie choć iskrę entuzjazmu i ku własnemu zdumieniu nie mogę. Czuję się dziwnie. Towarzysząca mi od paru dni aura zwiastuje gigantyczną migrenę, która jednak nie nadchodzi. Tańczące mi przed oczami znikające fragmenty rzeczywistości powodują, że jestem coraz bardziej rozdrażniona. Próbuję jednak zapanować nad rosnącą we mnie irytacją i nie dają niczego po sobie poznać. Nie chcę psuć rodzinie radości z wakacji. Tak długo na nie czekali.

W końcu ruszamy. Tuż przed granicą polsko – niemiecką wyciągam ze schowka atlas samochodowy. Pilotowanie wycieczki to zawsze moje zadanie. Staram się odszukać potrzebny fragment mapy. Zniecierpliwiony Mąż wyjmuje atlas z moich rąk i otwiera na odpowiedniej stronie. Wskazuje trasę, którą będziemy jechać.

- Pamiętaj, tu mamy zjechać z autostrady – mówi stukając palcem w punkt na mapie. – Pilnuj tego momentu, dobrze?

- Jasne – odpowiadam i przytrzymuję kciukiem miejsce, które wskazał.

Przez dłuższy czas wbijam wzrok w atlas, próbując odczytać numer zjazdu. Wpatruję się ze wszystkich sił, jednak linie na mapie zaczynają się ruszać i wić złośliwie we wszystkie strony, jak wstrętne, długie robale. Robi mi się niedobrze. Zaciskam mocno powieki i przecieram oczy, wciskając kciuki w ich wewnętrzne kąciaki. Biorę głęboki oddech i skupiam się najmocniej jak potrafię. W końcu podnoszę atlas z kolan, zbliżając go do samej twarzy.

- Co ty robisz? – Śmieje się mąż.

- Jakież niewyraźne są te cyfry, nie jestem pewna, czy to jest trzy, czy osiem.

Mąż rzuca okiem. Po minucie zjeżdża na awaryjny *pannenplatz*. Bierze do ręki atlas i po chwili z wściekłością rzuca go obok moich stóp.

- Miałas pilnować... o czym ty myślisz? - Patrzy na mnie z wyrzutem po czym z piskiem opon rusza.

Nie mówię nic. Odwracam głowę i przetykam łzy.

Docieramy wreszcie na wyspę *Brač*. Rozpakowujemy szybko bagaże i idziemy zwiedzać niezwykle urokliwe, choć niemiłosiernie zatłoczone miasteczko *Bol*.

- Masz ochotę na Alfredo? – Mąż wskazuje kawiarnię, gdzie jak wynika z reklam, serwowana jest moja ulubiona kawa. Widzę, że jest rozluźniony. Chyba się już nie gniewa...

- Tak – mówię, starając się ukryć brzmiającą w moim głosie ulgę.

Mąż obejmuje mnie ramieniem i odsuwa krzesło przy jednym ze stolików. Zadowolone dzieciaki przeglądają kartę z deserami. Kelner w końcu przynosi kawę. Unoszę do ust parującą znajomym aromatem filiżankę, po czym odstawiam ją gwałtownie na spodek.

- Dlaczego podał mi pan wyszczerbioną filiżankę? – zwracam się do kelnera, który patrzy na mnie zdumiony.

Spoglądam jeszcze raz. Filiżanka jest cała. Mąż przygląda mi się dziwnie i marszczy czoło.

- Przepraszam, zdawało mi się jakby... - Rumienię się zawstydzona. – Przepraszam...
- Kelner uśmiecha się i odchodzi. Czuję, jak powoli ogarnia mnie panika.
- Co się ze mną dzieje? Przecież wyraźnie widziałam, że krawędź filiżanki jest obtłuczona...
- zastanawiam się gorączkowo.
- Mąż spogląda na mnie pytająco.
- Chodźmy już na plażę, ta podróż naprawdę dała mi w kość, mam jakieś omamy wzrokowe. Muszę odpocząć – mówię, siląc się na żartobliwy ton i wstaję zostawiając na stoliku niedopitą kawę.
- Docieramy wreszcie na słynny Złoty Róg. Czuję zapach sosen wymieszany z wonią grillowanych potraw. Ku naszemu zaskoczeniu, na plaży nie ma spodziewanych tłumów. Mąż dostrzega kilka wolnych leżaków. Dzieci biegną przodem, żeby je zająć.
- Zdejmuję buty. Białe kamyki są ciepłe i niezwykle gładkie. Uderzają jeden o drugi, kiedy stawiam na nich bose stopy. Dźwięk jest znajomy. Zamykam oczy i słucham uważnie. Olśniewa mnie nagła myśl: „Porcelana”! Schylam się i podnoszę kilka kamieni.
- To są muszelki – mówię.
- Mężowi wraca na oblicze spojrzenie, którym obdarzył mnie w kawiarni.
- To kamyki, kochanie. Małe, owalne kamyki.
- Skądże, przyjrzyj się tylko. To fragmenty muszel wypolerowane przez wodę i ciała turystów.
- Mąż przygląda się zawartości mojej dłoni.
- Faktycznie. – Dziwi się. – Są nawet pozostałości rysunku i faktury muszel. A mówiłaś, że kiepsko widzisz!
- Poznałam po dźwięku. Posłuchaj, jest taki porcelanowy. Kamyki stukają bardziej głucho.
- Nasze dzieci zanurzają dłonie w muszelkowych odłamkach.
- Masz rację mamo, dźwięczą inaczej.

Diagnoza. Listopad 2008r.

- Krzywe zwierciadła powoli stają się moją rzeczywistością. Mój świat jest coraz bardziej pozałamywany i nierealny. Jestem przerażona. Robię badania. Okulista patrzy na wyniki i kręci głową.
- Żle? – pytam, choć i tak już wiem.
 - Przykro mi. Nie da się tego cofnąć, ale możemy spróbować zatrzymać rozwój choroby. Jest nowy lek... niestety, niezarejestrowany w Polsce, dlatego to leczenie eksperymentalne.
 - A jeśli się nie zgodzę? – pytam.
 - Myślę, że nie ma pani już nic do stracenia.
- Podobno, kiedy człowiek traci jeden ze zmysłów, wyostają się pozostałe. Postanawiam więc zacząć ćwiczyć i zamykam oczy...

Chalkidiki i Ateny, Grecja. Sierpień 2009

Całe dni spędzamy na Karidi Beach. Jej fragment jest skalisty, ale z miętko zaokrąglonymi fałdami, przez co wygląda jak leżące w wodzie ciała ogromnych grubasów. Wyciągam się na gładkim, gorącym kamieniu. Zamykam oczy. Czuję zapach morskich alg. Słyszę śmiechy i nawoływania plażowiczów. Krzyczą po grecku, francusku, po włosku, angielsku i w wielu innych językach, których nie potrafię rozpoznać. Nagle czuję na rozgrzanym ciele tysiące drobnych ukłuć. Otwieram oczy i widzę nad sobą sylwetkę śmiejącego się Męża, strząsającego z włosów zimne krople wody. Uśmiecham się, i zamykam oczy...

Jedziemy do Aten. Miasto jest pełne turystów, gwaru i kelnerów nachalnie zapraszających do mijanych restauracji. Kolory migają mi przed oczami. Trzymam się kurczowo łokcia Męża.

- Dzieci? – Zdenerwowana odwracam głowę.
- Są, są tutaj kochanie.
- Nie bój się mamó, nie zgubimy się! – Śmieje się starszy Syn i chwyta moją rękę z drugiej strony.

Docieramy do Akropolu. Mnóstwo ludzi, schodków i nierówności. Zahaczam butem o jakieś rusztowanie, nie tracę jednak nawet równowagi, ponieważ Mąż nadal mocno mnie trzyma.

- Chodźmy stąd – proszę.

Na koniec dnia odnajdujemy Świątynię Posejдона. Siedzimy wszyscy na skalistym brzegu Morza Egejskiego i czekamy na zachód słońca. Podobno tutaj jest najpiękniejszy. Mąż obejmuje mnie ramieniem. Wtulam mu głowę pod brodę i zamykam oczy. Czuję na plecach ciepło zachodzącego słońca i woń znanego na pamięć zapachu wody po goleniu.

- Mama! Patrz, patrz! Słońce wpada do wody! – krzyczy nagle mój młodszy Syn.

Otwieram oczy... i nie chcę ich już zamknąć.

Solden, Austria. Styczeń 2010r.

Zima. Jednak jedziemy na narty. Dostaję nowy kask i specjalne gogle, które mieszczą moje okulary. Staję na szczycie łagodnego stoku i zamykam oczy. Jednocześnie słyszę przeciągły świst i mokry śnieg spod czyichś nart opryskuje mi twarz. Otwieram oczy i czuję, że serce łomocze mi jak oszalałe.

Niewidomi nie powinni jeździć na nartach. Ja też nie będę... kiedyś...

Lazurowe Wybrzeże, Francja. Lipiec 2010r.

Jesteśmy w Nicei, w oceanarium. Powoli zapada zmierzch.

- Mama dotknie delfinaaa! – Cieszy się mój młodszy Syn.

Przebieram się w śmieszne, gumowe spodnie. Wchodzę powoli do wody i ogarnia mnie przyjemny chłód. Zamykam oczy.

Treserka pokrzykuje coś wesoło do swoich podopiecznych. Jej głos na początku brzmi jak uderzenia płetwy o taflę wody, a po chwili zmienia się i zaczyna szemrać jak fale prześlizgujące się po mokrym piasku. Otwieram na chwilę oczy i widzę, że tańczący radośnie zwierzak znieruchomiał. Wyciągam dłoń i śmiało dotykam jego miękkiej, jedwabistej skóry. Zamykam oczy...

Costa Brava, Hiszpania. Sierpień 2010r.

Stoimy przed Domem Wychudzonego Piszczela.

- Wiesz mama, Gaudi chyba też miał jakiś problem z Płamką Żółtą – mówi mój starszy Syn patrząc na powyginany budynek.

- Uwielbiam Gaudiego - mówię mrużąc oczy i dotykam porowatej struktury tynku.

Jedziemy do Figueres. Po godzinnym oczekiwaniu w kolejce docieramy do okienka z biletami. Są bardzo drogie. Na szybie widnieje informacja, o zniżkach dla osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Pokazuję swoją legitymację inwalidzką. Bileterka z przepaszającym uśmiechem kręci głową. Prosi o międzynarodową kartę parkingową dla inwalidów.

- Dlaczego nie masz takiej karty? – pyta Mąż.

- Ponieważ niepełnosprawnym z chorobami narządu wzroku nie przysługuje.

- To dlaczego nie wyrobiłaś sobie jakiejś międzynarodowej, unijnej legitymacji inwalidzkiej?

- Ponieważ coś takiego nie istnieje – odpowiadam.

Kupujemy normalne bilety i wchodzimy do środka. Przyglądam się surrealistycznym obrazom i instalacjom. Nie wiem, które krzywizny stworzył Dali, a które moja wyrodna Płamka Żółta. Nie obchodzi mnie to. Jest cudnie. Nie zamykam oczu ani na chwilę...

Toskania, Włochy. Czerwiec 2011r.

Spacerujemy wąskimi uliczkami Sienny i wścibsko zaglądamy w miniaturowe, włoskie podwórka. Wylewają się z nich oleandry, bugenville i aromatyczne zioła tłoczące się w ceramicznych donicach.

Jest pora kolacji. Z otwartych okien wydobywa się kuszący zapach pomidorów, bazylii, czosnku i oliwy z oliwek. Zamykam oczy.

- Ale jestem głodna!

Siadamy w maleńkiej knajpce.

- Wybierz mi coś – proszę Męża. – Chcę niespodziankę.

Kiedy kelner przynosi talerz, zamykam szybko oczy. Nabijam coś na widelec i wkładam do ust.

- Ryba – mówię. – Nie, nie ryba, za twarde... Żelek... Rybny żelek w panierce!

Słyszę śmiech dzieci i otwieram oczy. Na talerzu złocą się nieduże pierścionki.

- Przecież zawsze mówiłaś, że chciałybyś spróbować, jak smakuje kalmary – mówi Mąż z niewinną miną i uśmiecha się szelmowsko. Przytrzymuję mu brodę i wtykam do ust panierowanego kalmara. Śmiejemy się jak wariaci.

Wioska wakacyjna w Cancelli jest chłodniejsza, niż reszta Toskanii, ponieważ została ukryta w samym środku Apenin. Jedziemy serpentyną górskich dróg. Są kręte jak wszystko, co pokazuje mi moja zdegenerowana Żółta Plamka. Dojeżdżamy. Wsiadam z samochodu i natychmiast zamykam oczy. Słyszę głośnie bzyczenie pszczoł, czuję zapach róż, lawendy i piniowych szyszek. Otwieram oczy... Miałam rację, jest cudnie...

Na kempingu odkrywamy wybieg dla saren. Nie boją się ludzi. Podchodzimy do ogrodzenia. Wcisnąm dłoń między oczka metalowej siatki. Mały jelonek tryka ją lekko rogami. Jestem zdumiona, ponieważ jego rogi są miękkie i aksamitne. Zamykam oczy, i próbuję ich dotknąć jeszcze raz. Bardzo delikatnie, ponieważ mój starszy Syn mówi, że takie młode poroże jest mocno unerwione. Jelonek chwytą mnie mokrymi wargami za palce. Przestraszona otwieram oczy.

- Spoko mama – mówi mój Syn. – On chce tylko dostać jabłko!

Warszawa. Lipiec 2011r.

Młodszy Syn marzy, żeby odwiedzić Centrum Nauki Kopernik. Do Warszawy jedziemy autobusem z Łomży - miasta, gdzie nie ma PKP.

- Czy ten autobus odjeżdża dokładnie o 7.45? – pytam w jedynym, czynnym okienku biletowym.

Bileterka rozkłada ręce.

- Chyba tak, ja nie mam tu rozkładu jazdy – odpowiada. – Pani sobie spojrzysz sama, tam wisi.

Stoję bezradnie w miniaturowej poczekalni i wgapiam się w szaro – czarną tablicę. Do środka wchodzi jakiś mężczyzna, proszę go o pomoc, na szczęście nie odmawia.

W autobusie kierowca dokładnie ogląda moją legitymację.

- To pani niepełnosprawna, czy dziecko? – pyta, a kobieta stojąca obok odwraca się, i zaczyna mi się z zainteresowaniem przyglądać.

- Ja – odpowiadam cicho.

- To niewidoma, tak? – kontynuuje kierowca, a ja spoglądam na wychylające się ciekawie zza siedzeń głowy pasażerów i próbuję nie wyobrazić sobie wyrazów ich twarzy.

W Warszawie jest już lepiej. Na stronie internetowej jakdojade.pl odnalazłam numery autobusów i nazwy przystanków przesiadkowych, więc nie powinno być kłopotu z trafieniem do celu. Wsiadamy do autobusu. Skupiam się, zamierzając liczyć kolejne przystanki, jednak spotyka mnie miłe zaskoczenie. Nie muszę nic liczyć, ponieważ informacja podawana jest z głośników.

Dojeżdżamy na miejsce. Z przerażeniem patrzę na gigantyczną kolejkę. Podchodzę do ochroniarza, żeby spytać, jak długie będzie oczekiwanie na wejście. Przy okazji widzę, że starszy mężczyzna z laską wchodzi bez kolejki. Pytam trochę zażenowana i pokazuję legitymację. Wchodzimy. Na plecach czuję pieczenie od nieprzychylnych spojrzeń kolejkowiczów. Nie czuję jednak do nich niechęci. Rozumiem.

- Mamuś, a wolałabyś mieć zdrowe oczy i czekać w takiej długasnej kolejce, czy lepiej tak jak teraz? – pyta mój Syn.

- A jak myślisz kochanie?

- Ja bym wolał stać nawet dwa dni, żebyś tylko miała zdrowe oczy.

W środku zaczynam się gubić. Trzymam mocno Syna za rękę. Odnajduję wzrokiem człowieka z laską w jaskrawej, żółtej kurtce i podążam za nim w nadziei, że mimo problemów z poruszaniem widzi, gdzie należy kupić bilety. W końcu udaje mi się dostać ulgowe karty wstępu.

Nie zamykam oczu. Boję się nawet mrugnąć. Syn wyrywa mi się ciągle, zafascynowany kolejnymi atrakcjami. Ścigam go niespokojnym wzrokiem. Jestem coraz bardziej przerażona i jednocześnie paradoksalnie cieszę się, że tu jestem, bo moje dziecko jest szczęśliwe. Patrzę na jego falującą buzię przez wielką bańkę mydlaną, którą ku jego wielkiej radości udaje mu się wreszcie nadmuchać.

- Ale super! – krzyczy podekscytowany. – Teraz chodźmy na górę, dobra?

Potykam się na stromych, metalowych schodach, mały dzielnie mnie podtrzymuje. Robi mi się gorąco. Wyjmuję z torebki butelkę z wodą i upijam łyk. Natychmiast podchodzi do mnie ochroniarz.

- Proszę pani, tu nie wolno spożywać napojów!

- Przepraszam, nie wiedziałam – szepczę.

- Przecież wszędzie są ostrzeżenia!

- Nie zauważyłam, przepraszam – powtarzam zażenowana dostatecznie, żeby nie przyznać się, że czcionka na tabliczkach jest dla mnie zbyt mała, by ją odczytać.

Wracamy do domu pociągiem. Kontroler obraca w dłoniach podaną mu z biletem legitymację i spogląda na książkę leżącą na moich kolanach. Na szczęście nic nie mówi.

Sopot. Sierpień 2001r.

- Tak właśnie widzę świat – mówię do męża i dzieci.

Stoimy przed Krzywym Domkiem w Sopocie.

- Fajnie, ale tak cały czas to ja bym chyba nie chciał – mówi mój młodszy Syn.

Boję się wejść na molo. Starszy syn jest zdziwiony.

- A wszedłbyś na pomost, który wciąż się porusza i zmienia położenie swoich krawędzi? – pytam.

Idziemy na plażę. Siadam i zamykam oczy. Dotykam gorącego, idealnie miążkiego piasku.

- Żadne plaża na świecie nie ma takiego piasku, żadne morze takiego zapachu, ani żadne tak nie szumi, prawda? – mówi mój Mąż, i też zamyka oczy.